

JESIEŃ LUDÓW 1989



Mur berliński, listopad 1989 r.

ROBERT MAASS / CORBIS

PROF. ANDRZEJ PACZKOWSKI:

GDYBY NIE RUNĄŁ MUR BERLIŃSKI,
W EUROPIE ŚRODKOWEJ NASTĄPIŁOBY
WYHAMOWANIE REFORM.

Dodatek powstał
przy współpracy
z Instytutem
Pamięci Narodowej



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Dziękujemy za wsparcie
Fundacji
Konrada Adenauera



► **PATRYCJA BUKALSKA:** Co stało się jesienią 1989 r.? Rewolucja? Pokojowa rewolucja? „Wielka Zmiana”, jak można tłumaczyć niemieckie słowo „Wende”?

PROF. ANDRZEJ PACZKOWSKI: Rewolucja jest zmianą, ale zmiana nie musi być rewolucją, bo zmiany mogą występować też w ramach ustroju, wtedy wypada określić je mianem reform. Dopiero gdy zmienia się ustrój, mamy albo rewolucję, albo tzw. *deep systemic change* – zmianę ustrojową, systemową. 20 lat temu mieliśmy w Polsce do czynienia ze zmianą ustrojową, a nie z rewolucją.

Zresztą w ogóle we wszystkich krajach komunistycznych Europy Środkowej w 1989 r. dokonała się nie rewolucja, lecz zmiana ustrojowa. Tylko w Rumunii były elementy rewolucji: lała się krew, przywódca *ancien regime* został rozstrzelany. Ale, paradoksalnie, skutki polityczno-ustrojowe były w Rumunii mniej rewolucyjne.

Być może należy sięgnąć po określenie ukute kiedyś przez Timothy’ego Garton Asha: że w 1989 r. w Europie Środkowej dokonała się „refolucja”: coś pomiędzy rewolucją a reformą.

► Jednak ta „refolucja” miała inny przebieg w Polsce i na Węgrzech, a inny w Czechosłowacji i NRD, gdzie jesienią 1989 r. nastąpiło nagłe „przyspieszenie”.

Różne było tempo, kraje Europy Środkowej były w różny sposób przygotowane do zmiany ustrojowej, różne były też jej bezpośrednie czynniki sprawcze. Polska i Węgry odbiegały od reszty, gdyż proces zmian zaczął się tu wcześniej i bardziej ewolucyjnie. Inne kraje dołączyły później, jakby pod wrażeniem tego, co już działo się w tych dwóch. Dlatego można uznać, że u nich zmiana miała charakter wtórny. Z tym że przebieg był inny: inaczej niż w Polsce i na Węgrzech, w NRD i Czechosłowacji odbyła się pod naciskiem ulicy. Jesienią 1989 r. ludzie zaczęli masowo demonstrować i domagać się zmian. W NRD wielkie manifestacje z udziałem kilkudziesięciu tysięcy ludzi ruszyły na początku października w Lipsku. Odbywały się one również pod wrażeniem tego, co działo się na Węgrzech, czyli otwarcia granicy z Austrią i ucieczek dziesiątków tysięcy Niemców z NRD na Zachód, zresztą nie tylko przez Węgry. Tysiące obywateli NRD szukały wtedy azylu w ambasadach

KAMERZYSTA REWOLUCJI

Jego nagrania obieży świat. Jako jedyny sfilmował – z ukrycia, urwawszy się wcześniej inwigilującym go agentom Stasi – to, co 9 października stało się w Lipsku: 70 tysięcy ludzi na ulicach i bezradne władze, które nie odważyły się użyć siły. Jeśli ktoś wątpi w tezę, że jednostka wpływa na historię, Siegbert Schefke jest jej potwierdzeniem: gdy jego film przeszmygłowano na Zachód i gdy wyemitowała go zachodniemiecka telewizja, kolejni obywatele NRD – wiedząc o wydarzeniach w kraju czerpiący nie z partyjnych mediów, ale z zachodniej TV – postanowili wziąć przykład z mieszkańców Lipska. Wkrótce na ulicach miast NRD demonstrowały setki tysięcy, a może nawet, w skali kraju – miliony ludzi. W samym tylko Lipsku – ćwierć miliona.

Dzisiaj historycy są przekonani, że lipski 9 października był rozstrzygającym dniem dla dalszego przebiegu „pokoju rewolucji” w NRD. Nie tylko jako przykład do naśladowania. Także dlatego, że był to chyba ostatni moment na siłowe zduszenie protestów. Władze były przygotowane – jednostkom milicji i wojska wydano już ostrą amunicję – ale się nie zdecydowały. Później, gdy demonstracje rozlały się na całą NRD, na skuteczne rozwiązanie siłowe było za późno.

„To my jesteśmy narodem!”

Rankiem w poniedziałek, 9 października 1989 r., 30-letni Siegbert Schefke opuścił swe niewielkie mieszkanie w berlińskiej un-

20 LAT TEMU SIEGBERT SCHEFKE RUSZYŁ Z POSAD BRYŁĘ ŚWIATA.

JOACHIM TRENKNER Z BERLINA

dergroundowej dzielnicy Prenzlauer Berg przez okno. Wiedział, że jest pod stałą obserwacją Stasi. Wiedział też, że tego dnia musi dotrzeć do Lipska: czuł, że to, co się tam zdarzy wieczorem, będzie ważne. Od początku września, w każdy poniedziałek, po nabożeństwie o pokój w kościele św. Mikołaja, na lipskie ulice wychodziły demonstracje: najpierw kilkuset, potem kilka tysięcy ludzi. Z każdym poniedziałkiem więcej.

Schefke musiał dotrzeć do Lipska. Dlatego opuściwszy mieszkanie przez okno, wdrapał się na dach swej kamienicy, aby skacząc po kolejnych dachach urwać się szpicłom. Dotarł do samochodu przyjaciela i współpracownika Arama Radomskiego. Ruszyli do Lipska tak szybko, jak tylko pozwalał trabant. Jadąc wyboistą, betonową autostradą – pamiętającą czasy III Rzeszy – mijali kolumny wojskowych ciężarówek. Także Lipsk przypominał twierdzę: w uliczkach biegnących do centrum rozlokowały się potężne siły milicji; widać było też liczne grupy krzepkich mężczyzn trzymających się razem: esbeków po cywilnemu.

Schefke, uzbrojony w kamerę wideo, zainstalował się na wieży kościoła. Stąd miał doskonały widok na planty, czyli tzw. Ring, obiegający Stare Miasto: tędy mieli iść demonstranci, tradycyjną już trasą wzdłuż Ringu. I stąd Schefke sfilmował przebieg demonstracji: 70 tys. ludzi, krążących przez kilka godzin wokół Starówki i powtarzających hasło, które przejdzie do legendy: „Wir sind das Volk!”. „To my jesteśmy narodem!”.

Kilka godzin później Schefke spotkał się w umówionym uprzednio miejscu (był to jeden z lipskich hoteli) z dziennikarzem zachodniemieckiego tygodnika „Der Spiegel” i przekazał mu kasety. Reporter natychmiast ruszył w drogę, przekroczył granicę Berlina Zachodniego i przekazał nagranie odbiorcom: zachodniobermińskiej telewizji publicznej. Następnego dnia w wieczornych wiadomościach ARD – do dziś najważniejszym programie informacyjnym w niemieckiej TV – miliony widzów w obu państwach niemieckich mogły obejrzeć początek końca komunistycznego reżimu.

Bo teraz ruszyła lawina. W kolejnych miastach, miasteczkach, a nawet na wsi demonstrowali obywatele NRD. A ton ciągle nadał Lipsk, gdzie kilka tygodni później – już po tym, jak 9 listopada władze NRD otworzyły granicę, a mur w Berlinie przestał być śmiernym narzędziem – ćwierć miliona demonstrantów zaczęło skandować nowe hasło: „Wir sind ein Volk!”. „Jesteśmy jednym narodem!”. A Siegbert Schefke, który już nie musiał uciekać przed Stasi (esbecy mieli teraz inne problemy: jednym z głównych zadań demonstrantów stała się także likwidacja tajnej policji), co poniedziałek wdrapywał się na swój posterunek na kościelnej wieży, aby zachodniej telewizji dostarczyć świeżego materiału filmowego.

W ten sposób Schefke stał się żywym dowodem, że jednostka może wpływać na historię. Bo nawet jeśli nie sposób dowieść tego empirycznie, możemy być pewni: po 9 października wydarzenia w NRD na pewno nie potoczyłyby się tak szybko, gdyby za pośrednictwem zachodniej telewizji obywatele NRD nie dali się porwać przykładowi Lipska.

Reporterzy w konspiracji

Lipsk nazwano wtedy „Heldenstadt”, „Miastem Bohaterów”. A gdy jego rola wyszła na jaw, Schefkego nazwano „kamerzystą rewolucji”. Jak czuje się dziś, gdy jego nazwisko jest znów przywoływane? – Byłem raczej rewolucjonistą niż reporterem – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem”. – To było coś nie-

zwykłego. Jako jedyni robiliśmy wtedy nagrania dla telewizji. Oczywiście, NRD-owska telewizja miała lepszy sprzęt i kamerzystów, ale oni nic nie nagrywali.

Wtedy, 20 lat temu, Schefke szybko doszedł do przekonania, że państwo NRD-owskie nie przetrzyma „Jesieni Ludów”. – Właściwie to już wtedy nasunęła mi się taka myśl – wspomina. – Bo jeśli w tamten poniedziałek, 9 października, demonstruje 70 tys. ludzi, a w tydzień później już trzy razy tyle, to widać, że system długo nie pociągnie.

Rewolucjonistą, a wcześniej opozycjonistą, Schefke nie został od razu. Życie tego wyrośniętego syna murarza z Eberswalde pod Berlinem zaczęło się typowo, wedle NRD-owskiego schematu: matura, praca (jako robotnik budowlany), potem studia (w Cottbus, budownictwo). Około roku 1986 trafił do środowiska alternatywnego, skupionego wokół Zionskirche (ewangelickiego Kościoła Syjonu) w Berlinie Wschodnim, które zajmowało się ekologią i krytykowało NRD-owski militarizm (występujący pod płaszczykiem „walki o pokój”). Środowisko przekształcało się w grupę już *stricto* opozycyjną, a Schefke angażował się coraz bardziej – dokumentując, najpierw aparatem fotograficznym, a potem kamerą wideo, prawdziwe oblicze NRD.

Skąd wzięli kamerę? Aby to wyjaśnić, trzeba do tej opowieści wprowadzić postać Rolanda Jahna [reportaż o nim ukazał się w „TP” nr 34/2005 – red.]. Ten legendarny opozycjonista rodem z Jeny, znienawidzony przez władze, został siłą wydalony z NRD i osiadł w Berlinie Zachodnim. Tu został współpracownikiem, a potem redaktorem telewizyjnego magazynu „Kontrasty”, który dla kanału ARD przyzytywał reportaż z NRD i innych krajów komunistycznych; redakcja magazynu mieściła się w Berlinie Zachodnim. W 1987 r. Jahn – który znał Schefkego – zaproponował szefowi „Kontrastów”, by na rachunek ARD kupić kamerę wideo, która zostanie przemykana przez granicę i trafi do „zaufanego człowieka” w Berlinie Wschodnim. Ten zaś będzie nagrywał potajemnie materiały, jakich nigdy nie byłoby w stanie sfilmować korespondenci zachodniemieccy akredytowani w NRD. Nagrane kasety miały być następnie szmygowane do Berlina Zachodniego – w tym celu Jahn zorganizował całą siatkę łączników.

Odwaga zrodzona z rozpacz

Dzisiaj brzmi to prosto. Tymczasem było to przedsięwzięcie ryzykowne, a jego uczestnicy działający na terenie NRD – i działający w konspiracji filmowcy-amatorzy, i łączni-

OGŁOSZENIE

„Spotkania z historią”



Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku zaprasza na wykład

dr. hab. Piotra M. Majewskiego

„Walka, kapitulacja czy współpraca?

Europa Środkowa pomiędzy Hitlerem a Stalinem, 1938–1939”,

który odbędzie się w czwartek 5 listopada 2009 r. o godz. 18.00

w Dworze Artusa w Gdańsku, Długi Targ 43/44.

Dr hab. Piotr M. Majewski jest historykiem dziejów najnowszych, specjalizuje się w problematyce środkowoeuropejskiej, zwłaszcza historii stosunków czesko-niemieckich w XIX i XX w. Zajmuje się również rolą muzeów w kształtowaniu współczesnej pamięci historycznej. Pełni funkcję wicedyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

TYGODNIK
POWSZECHNY



7, 8 i 9 listopada rocznica upadku muru berlińskiego

OGLĄDAJ SPECJALNE PROGRAMY W





Stasi śledziła Siegberta Schefke; po otwarciu jej archiwów odnaleziono wiele tzw. zdjęć operacyjnych...

CAUCK / BIRTLER BEHOERDE / ZBIORY HAVEMANN-GESELSCHAFT X 2



...pokazujących nie tylko jego spotkania z przyjaciółmi (u góry), ale także życie codzienne (z lewej).

Siegbert Schefke:

Nie tęsknię do niczego, co było w NRD. Mamy wolność, wolne wybory, demokrację. Nic, ale to nic nie było wtedy lepsze. NRD to było przestępcze państwo, które „zamurowało” własnych obywateli.

cy – narazili się, w razie wypadki, na wieloletnie więzienie.

Wpadki jednak nie było. Stworzone przez Jahna przedsięwzięcie, do którego dopuszczono wąską grupę zaufanych osób, funkcjonowało niezle. A jego mózgiem na terenie NRD stał się Siegbert Schefke, dokumentujący potajemnie na taśmach wideo nie tylko ekologiczne grzechy NRD-owskiego państwa czy degradację zabytków, ale także działalność grup neonazistowskich (których oficjalnie w NRD nie było). A także – działalność rodzącej się opozycji.

Tak powstało kilkadziesiąt nagrań, mających wartość nie tylko dziennikarską, ale przede wszystkim będących politycznymi

„bombami”: emitowane następnie w „Kontrastach”, a potem również w innych audycjach ARD – także w głównych programach informacyjnych – były sensacją. Ujawniały to, co funkcjonariusze NRD-owskiego państwa chcieli ukryć nie tylko przed światem, ale także przed własnymi obywatelami. A że większość tychże obywateli codziennie wieczorem włączała zachodnią telewizję (tylko w niektórych regionach NRD nie dało się jej oglądać, np. w Dreźnie, położonym w głębokiej dolinie Łaby) władze i Stasi dostawiały szau.

– My wszyscy mieliśmy na pieńku z tym państwem – tak Schefke tłumaczy dziś swoją ówczesną motywację. – Można chyba powiedzieć, że nasza odwaga rodziła się z naszej rozpacz i bezsilności. Byliśmy dorosłymi ludźmi, wiedzieliśmy, co robimy. Zmuszaliśmy rządzących, żeby spojrzeli w lustro. Nasze nagrania były tym lustrem.

Byli inwigilowani, ale Stasi nie udało się rozpracować ich siatki. Gdy po otwarciu archiwów Schefke oglądał swoją „teczkę”, stwierdził, że Stasi nadała mu kryptonim „Szatan”, a w 1989 r. był niemal pod stałą obserwacją. Tego ostatniego był zresztą świadom już wtedy – dlatego gdy miał do wykonania jakieś zadanie, najpierw musiał zgubić „ogon”.

Na pytanie, jak radził sobie ze świadomością, że w każdej chwili może trafić na lata do więzienia, odpowiada: – Kiedyś podczas przesłuchania oficer Stasi powiedział mi,

że ma tu w szufladzie wystawiony na mnie paszport, z wizą uprawniającą do opuszczenia kraju, i jeśli zechcę, za pół godziny mogę być na Zachodzie. Wtedy pojąłem, że mimo wszystko mam nad nimi przewagę, że oni boją się mnie bardziej niż ja ich.

Schefke miał rację: historia miała wkrótce dowiedzieć, że jednym z największych zagrożeń dla systemu totalitarnego jest jawność. W ten sposób część zachodnich mediów przyczyniła się do sukcesu „Jesieni Ludów”, bo pomogła złamać monopol władz NRD na informacje.

Po zjednoczeniu Niemiec Schefke najpierw został reporterem regionalnej stacji telewizyjnej w byłej NRD *Mitteldeutscher Rundfunk* (MDR), a potem postanowił zająć się biznesem. Konkretnie: nieruchomościami. Wykazał tu spory talent, zarobił duże pieniądze; dziś jest człowiekiem zamożnym. Poza tym, chciał nadgonić to, czego nie mógł robić w NRD – jego pasją stały się podróże po świecie; szczególnie spodobały mu się Stany Zjednoczone.

Zapytany dziś, co sądzi o rozpowszechnionej w tzw. wschodnich landach nostalgii za NRD, Schefke długo się nie zastanawia:

– Byłem już w prawie 50 krajach świata, właśnie wracam z żoną i dziećmi z Ameryki, moja 12-letnia córka zna cztery języki. Nie tęsknię do niczego, co było w NRD. Mamy wolność, wolne wybory, demokrację. Nic, ale to nic nie było wtedy lepsze. NRD to było przestępcze państwo, które „zamurowało” własnych obywateli.

20 lat po tym, jak jego nagrania tworzyły historię, Schefke wkrótce opuści Niemcy, na stałe. Razem z rodziną chce zamieszkać w Stanach, na Florydzie. – Bo ludzie są tam cholernie sympatyczni, bo mamy tam dom nad morzem, a słońce świeci tam 320 dni w roku – mówi.

Czy to będzie strata dla Niemiec? Bez wątplenia. ◆

● PS. Ówczesnym szefem magazynu „Kontrasty” był autor tego tekstu, dziś korespondent „Tygodnika Powszechnego” w Berlinie.

PRZEŁOŻYŁ WOJCIECH PIĘCIAK

Placki w Warszawie

Hej, jesteś już wolny! Nie musisz się więcej bać!” – usłyszał Thorsten Heinhold, gdy pociąg z NRD minął granicę z Polską. Gratulowali mu Polacy, jadący z nim w przedziale. Potem było tylko lepiej: nie miał biletu, ale polski konduktor spytał tylko, czy jedzie do ambasady RFN w Warszawie – po czym wystawił mu darmowy bilet. Po dotarciu do ambasady Heinhold, wraz z innymi uciekinierami z NRD, zamieszkał w ośrodku wczasowym w Serocku. Spacerując nad brzegiem jeziora i czekając, aż politycy wynegocjują wyjazd kilku tysięcy takich jak on z (jeszcze) PRL-u do Niemiec Zachodnich, mógł planować nowe życie.

Heinhold był jednym z tych Niemców z NRD, którzy latem i jesienią 1989 r. – zanim upadł mur berliński – postanowili uciec

na Zachód drogą nieco okrężną, bo przez Polskę (kolejne tysiące uciekały wtedy przez Węgry i Czechosłowację). Ich losy opowiada film „Żegnaj DDR! Przez Warszawę ku wolności”.

Wtedy, latem i jesienią 1989 r., granicy między NRD i PRL – mimo że były to dwa państwa „bloku” sowieckiego – nie można było przekroczyć tak sobie. Niektórzy Niemcy jechali więc do Polski legalnie, za zaproszeniami. Inni przedzierali się przez „zieloną granicę”, czyli przez Odrę i Nysę (poziom wody zwłaszcza w Nysie był wtedy bardzo niski). Nie zawsze się udawało – co najmniej do połowy października ci, których po polskiej stronie ujęli funkcjonariusze Wojsk Ochrony Pogranicza, podległych szefowi MSW Czesławowi Kiszczakowi, byli odstawiani do NRD i tu trafiali do aresztu (na wolność wyszli po upadku muru). Ale ci, którym udało się dotrzeć do ambasady RFN, nie byli ścigani ani przez WOP, ani przez SB czy milicję – ambivalencja ówczesnej Polski, gdy premierem był już Tadeusz Mazowiecki, ale MSW rządził ciągle Kiszczak. W końcu ich historia skończyła się happy endem: rząd Mazowieckiego wynegocjował z rządem NRD zgodę na ich wyjazd do RFN.

Uciekinierzy mogli liczyć na pomoc zwykłych Polaków, którzy nie byli obojętni na dramat ludzi szukających schronienia, ale chętnie przyjmowali ich np. u siebie w mieszkaniach. To chyba najbardziej wzruszające momenty filmu, gdy o tamtych dniach

opowiadają Polacy: kobieta, która z ulicy wzięła do domu rodzinę z trójką dzieci i usmażyła im placków z jabłkami; mężczyzna, który przez okno swego domu nad granicą widział, jak rodzice z małym dzieckiem brną przez zimną Nysę, i dziś opowiada, jak żelazkiem suszył im ubrania. Ale są i inne historie, np. Thomasa Przybylskiego, złapanego przez WOP i odesłanego w ręce Stasi. Bo dopiero po tym, jak praktyki stosowane przez resort Kiszczaka opisała w Polsce coraz bardziej wolna prasa, WOP-iści dostali nieoficjalne przykazanie, by uciekinierów nie łapać.

W sumie paru tysiącom ludzi, którzy różnymi sposobami dostali się do ambasady RFN w Warszawie, udało się spełnić swój cel: byli wolni. Dziś opowiadają, ciągle z przejęciem, jak dostawali upragniony dokument, pozbawiający ich obywatelstwa NRD.

„Ciekawe, co teraz robią ci wszyscy ludzie?” – zastanawia się Polka, która wtedy pomagała niemieckim uchodźcom. To pytanie, na które chciałoby się także poznać odpowiedź. Ale to już temat na inny film.

PATRYCJA BUKALSKA

● Film „Żegnaj DDR! Przez Warszawę ku wolności” wyprodukowała Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, przy wsparciu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

BISKUP Z PODZIEMIA

Pierwszy raz usłyszałem o nim przy okazji jakiegoś „wewnętrzny” konfliktu między praskim arcybiskupem a tutejszymi dominikanami. Różnica zdań narastała od tygodni i nikt nie miał już pomysłu, jak uciąć spór. – Na szczęście został jeszcze Duka – relacjonował mi konflikt pewien młody zakonnik. – A czy jak przyjdzie do decydującej rozmowy, to on się nie wystraszy arcybiskupa Vlka, z jego autorytetem? – spytałem. Zakonnik spojrział na mnie z mieszanką rozbawienia i zdziwienia, i pokręcił głową. – Duka? Nieee... Jego już nikt nie jest w stanie wystraszyć!

Biografia Dominika Duki wyjaśnia tę cechę charakteru. W komunistycznej Czechosłowacji wybrał drogę kapłaństwa. Działal przy tym tak, że jego postępowanie nie mogło podobać się władzy. Konsekwentnie, mimo prześladowań, trwał przy swym wyborze. A przecież, podejmując tak dramatyczne decyzje, nie mógł się spodziewać, że dożyje czasów, gdy za zasługi dla kraju odznaczony go prezydent, a Kościół doceni jego talent sakralny biskupią.

Duka urodził się w 1943 r. w Hradcu Králové. Jedno z pierwszych wspomnień z dzieciństwa to więzienie: ojciec, lotnik z Bitwy o Anglię, z patriotycznych pobudek wrócił po wojnie do kraju i jak wielu emigrantów z Zachodu wyładował za kratami. Rodzina była katolicka, Jaroslav (Dominik to imię zakonne) myślał o kapłaństwie, ale w Czechosłowacji nie było to łatwe: po fali masowych i brutalnych prześladowań w kraju zostało jedno seminarium. Dostać się tam nie było łatwo, a już na pewno nie synowi „wroga ludu”. Pracował więc w fabrykach, zdo-

DOMINIK DUKA PRYZNAJE, ŻE JEMU ŁATWIEJ BYŁO PRZEBACZYĆ KOMUNISTOM,

BO ŚLEDZCY, KTÓRY GO WSADZIŁ DO WIĘZIENIA, PO AKSAMITNEJ REWOLUCJI PRZYSZEDŁ DO NIEGO, POPROSIŁ O CHWILĘ ROZMOWY – I PRZEPROSIŁ.

TOMASZ MAĆKOWIAK

był zawód ślusarza, dwa lata odsłużył w wojsku. W końcu, po biurokratycznej szarpaninie, korzystając z zaczynającej się odwilży, został w 1965 r. przyjęty do seminarium w Litomierzycach. Świecenia kapłańskie przyjął w czasie sowieckiej okupacji, niemal w ostatniej chwili, w 1970 r. A dwa lata wcześniej wstąpił do – w Czechosłowacji działającego w podziemiu – zakonu dominikanów. Śluby wieczyste złożył, także tajnie, w 1972 r.

W komunistycznej Czechosłowacji Kościół i księża byli zdani na łaskę i niełaskę państwa. Duchowni mogli obejmować parafie i pracować tylko za zgodą władz, a przy tym cały czas nękani i inwigilowani przez tajną policję. Duka pięć lat po święceniach pracował w parafiach diecezji praskiej, czując, że jest ledwie tolerowany – i w 1975 r. stała się rzecz częsta: odebrano mu tzw. państwową licencję, co oznaczało nie tylko stratę parafii (i nędznej państwowej pensji), ale przede wszystkim postawienie poza prawem całej jego działalności jako księdza. Państwo to na-

prawdę chciało być totalitarne i kontrolować wszystko. Ksiądz, który tracił „licencję”, nie miał prawa wykonywać kapłańskich czynności: odprawiać mszy, spowiadać, chrzczyć.

Bezpieka sprawdzała takich ludzi, a do historii przeszło kilka większych akcji. Jedną z nich trwała w latach 1980-81, gdy praccy komuniści umierali z przerażenia przed „kontrewolucyjną zarazą” z Polski. Wybór kard. Wojtyły na papieża i rewolucja Solidarności rozbudziły wielkie nadzieje w kręgach czechosłowackich nonkonformistów – także wśród katolików. Te nastroje pacyfikowano jeszcze brutalniejszymi niż wcześniej represjami. W 1981 r. aresztowano też Dukę. Pracował jako robotnik w zakładach Škody w Pilźnie i właśnie tam wpadł przy odprawianiu mszy. W sądzie dołożono mu jeszcze takie zbrodnie, jak tajna działalność zakonna, gromadzenie nielegalnych wydawnictw i współpracę z zagranicą. Dostał 15 miesięcy, które w całości odsiedział w więzieniu Pilzno-Bory.

Część odsiadki spędził w celi z eksdzenikarzem, wywalonym w 1969 r. z radia, i z prześladowanym pisarzem. „Często rozmawialiśmy o odpuszczeniu i o tym, jak się wyżyć nienawiści. – wspominał po latach. – Doszliśmy do wniosku, że jak nie nabierzemy dystansu do tych prześladowań, to będziemy się tylko zatruwać własną goryczą i tracić energię. Odpuszczenie jest dobre także z powodów praktycznych: aby człowiek miał siłę żyć dalej”.

Przyznaje, że jemu łatwiej było przebaczyć, bo śledczy, który go wsadził do więzienia, krótko po Aksamitnej Rewolucji (listopad–grudzień 1989) przyszedł, poprosił o chwilę rozmowy i prawie nie patrząc mu ze wstydu w oczy – przeprosił. Było to już w czasie, gdy jeden ze współwięźniów Duki – Jiří Dienstbier – został ministrem spraw za-

granicznych Czechosłowacji, a drugi – Václav Havel – jej prezydentem.

Do 1998 r. Duka był prowincjałem czechosłowackich dominikanów, potem został biskupem diecezji Hradec Králové. Jest jedną z najbardziej charakterystycznych postaci czechosłowackiego episkopatu. Tamtejsi księża całe życie przeżyli, albo próbując zachować godność w ramach reżimowych „posad”, albo na skraju męczeństwa w podziemiu. Biografia Duki łączy obie postawy, a on swych przeżyć nie dramatyzuje. Prostota i spokój, z jaką podchodził do prześladowań, przydały mu się w nowych warunkach, gdy po początkowej euforii czeski Kościół zderzył się z mieszanką współczesnego materializmu i tradycyjnego dla tej kultury antyklerykalizmu. Czescy biskupi szybko zdali sobie sprawę, że za zasługi sprzed 1989 r. może i dostaną medale, ale nie dostaną automatycznie uznania społecznego. „Zauważyliśmy, że zwracanie się do społeczeństwa w sposób autorytatywny przynosi efekt odwrotny od zamierzonego – mówił Duka o strategii, jaką przyjął czeski episkopat. – Aborcja czy eutanazja to problemy, o których i tak musi decydować parlament, dlatego często są one obiektem partyjnego współzawodnictwa, lawirowania. Uznaliśmy zatem, że w środowisku czeskim walka o te kwestie musi polegać na delikatnym ukazywaniu tych spraw jako kluczowych dla społeczeństwa, a końcowego konsensu należy szukać różnymi sposobami, w rozmowach osobistych, spotkaniach itd.”

Dziś, 20 lat po Aksamitnej Rewolucji, już w zupełnie innych warunkach, Duka pozostaje wielkim autorytetem nie tylko dla katolików. Ma swoją biografię, przekonania i zadania – bez względu na czasy – te same. ♦

Solidarność wstrząśniętych

PETR PITHART

→ PETR PITHART (rocznik 1941), polityk i publicysta, jest obecnie wiceprzewodniczącym Senatu (izby wyższej czeskiego parlamentu). Za młodu komunista, zerwał z ideologią po inwazji Układu Warszawskiego i zdławieniu Praskiej Wiosny. Po 1968 r. angażował się w działalność dysydencką, był represjonowany. Jako jeden z pierwszych podpisał Kartę 77 – manifest czechosłowackiej opozycji. Po Aksamitnej Rewolucji został posłem; w latach 1990-92 był premierem Czech (jeszcze w ramach federacji czechosłowackiej). Jest dziś ostatnim z pokolenia dawnych opozycjonistów, zajmującym eksponowane stanowisko w polityce.

Publikowany przez nas tekst jest fragmentem jego książki „Osiemdziesiąty dziewięty”, która ukazała się w tym roku nakładem praskiego wydawnictwa Academia (dziękujemy za pomoc Václavowi Burianowi, w którego czasopiśmie „Listy” z Otomuńca ukazał się pierwotnie ten tekst).

W pewnej chwili, gdy jakoś latem 1990 r. zaczęły coraz częściej rozbrzmiewać apele o „dokończenie rewolucji”, gdyż ta listopadowa była podobno „zdradzona”, „ukradziona” studentom [którzy zaczęli demonstracje jesienią 1989 – red.], odpowiadałem hasłem: „Dość już było rewolucji!”

Odpowiadałem wtedy w tym samym duchu, w jakim działała nieprzygotowana wprawdzie politycznie, a może i niepolityczna czy świadomie wręcz antypolityczna opozycja, gdy listopadowym przewrotem i tym, co zaraz po nim nastąpiło, nie rozpoczęła celowo żadnego dalszego rewolucyjnego cyklu. I to za cenę niektórych porażek. Z pokonanymi obchodzila się w zasadzie laskawie, co ciągle się jej wypomina.

Kiedy zapanuje przekonanie, że to, co się dzieje, to rewolucja, i że tak właśnie ma wyglądać, to nie będzie to rewolucja ostatnia. Ta naprawdę ostatnia musi świadomie zrezygnować z radykalnych gestów, rewolucyjnej retoryki, zbyt wielu emocji, choć to wszystko ma do dyspozycji. Musi się sama hamować, ograniczać. Dlaczego zatem nie używać prostego terminu: „przewrót”?

Ważne są w końcu nie słowa, ale fakt, że Republika Czeska jak dotąd omija bezpiecznym lukiem wszystkie pokusy zwrotów ku reżimom autorytarnym. To argument wspierający nasz niedysydencki wybór, że – mimo wszelkich pokus – uniknęliśmy rewolucyjnych metod.

Odwolując się do podstaw Karty 77 – szerszych niż tradycyjnie polityczne i wychodzących z idei „solidarności zagrożonych” – jest czymś niedorzecznym nieustannie wyliczać, ilu w niej było „tych” (np. byłych komunistów czy ka-

Aksamitna Rewolucja zaczęła się w drugiej połowie listopada 1989 r. Pod koniec miesiąca i w grudniu na ulice wyszły setki tysięcy ludzi. Na zdjęciu: Praga, listopad 1989 r.

DAVID TURNLEY / CORBIS



DYSYDENT OPTYMISTA

W 1989 R., ZANIM JESZCZE
WYBUCHŁA AKSAMITNA REWOLUCJA,
MILAN ŠIMEČKA POWIEDZIAŁ
VÁCLAVOWI HAVLOWI:
**„NIEDŁUGO PÓJDZIESZ
PO CZERWONYM
DYWANIE NA PRASKI
HRAD”.**

PATRYCJA BUKALSKA

Był optymistą. Zawsze w dobrym nastroju, mimo kłopotów i problemów. Nadzwyczajny człowiek – tak o Milanie Šimečce opowiada dziś „Tygodnikowi” Miroslav Kusý, pisarz i publicysta, a przed rokiem 1989 słowacki dysydent.

Urodzony w 1930 r. w Czechach, w Nowym Bohuminie, na Słowację przeniósł się dopiero w latach 50. Zamieszkał w Bratysławie, gdzie wykładał na uniwersytecie. Był fi-

lozofem, humanistą, dalekim od typu politycznego działacza.

Ale historia raz po raz wprowadzała w jego życie zamęt. Najpierw po klęsce Praskiej Wiosny 1968, gdy podobnie jak wielu z jego pokolenia został usunięty z uniwersytetu i z partii komunistycznej, do której wcześniej należał.

Odtąd na życie zarabiał jako robotnik, ale nie przestaje pisać. Jego prace publikowane są na Zachodzie, zdobywają tam uznanie (np. „Przywrócenie porządku” czy „Wielki brat i wielka siostra”, wspólnie z Kusým). Zarazem sprowadzają na Šimečkę kłopoty: w 1981 r. za wywiezienie swych manuskryptów za granicę zostaje skazany na więzienie, gdzie spędza kilkanaście miesięcy.

Z celi pisze dziesiątki listów do ukochanej żony. Podobnie jak Havlove „Listy do Olgi”, także „Listy z więzienia” Šimečki są świadectwem uczucia, ale także samotności za kratami, wynikającej nie tylko z rozłąki z bliskimi, ale też z wielkiego poczucia osamotnienia w czeskosłowackim społeczeństwie, w swoim sprzeciwie wobec reżimu.

Aksamitna Rewolucja – to dla Polaków przede wszystkim obraz tłumów na Václavskim Náměstí w Pradze [na zdjęciu poniżej – red.].

A przecież lawina wydarzeń ogarnęła nie tylko Czechy, ale też Słowację. W Czechach powołano Forum Obywatelskie, ruch mający przypominać polską Solidarność, zaś na Słowacji zaczęło działać Społeczeństwo Przeciw Przemocy (VPN).

Jednym z przedstawicieli tej organizacji został właśnie Milan Šimečka. Choć początkowo wcale „w politykę” angażować się nie chciał.

– Przez pierwsze dni ojciec siedział w domu i musiałem go namawiać, żeby do nas, do VPN, przyszedł, bo go potrzebujemy – mówi „Tygodnikowi” syn, Martin Šimečka, dziennikarz i pisarz. – On jednak mówił, że rewolucję powinni robić inni, a on takich ambicji nie ma. Jego interesowały szersze historyczne zależności, nie chciał być aktywny w polityce. Jednak jego wpływ na wydarzenia był duży.

Podobnie wspomina tamten czas Miroslav Kusý: – Wprawdzie przed rokiem 1989 Šimečka nie podpisał Karty 77, miał do tego powody rodzinne, ale przez to, co faktycznie robił, był w istocie ważnym „kartystą”. Jego artykuły były wielkim wkładem w przygotowanie Aksamitnej Rewolucji.

Wśród czeskich i słowackich dysydentów cieszył się autorytetem; wielu uważało go za wizjonera. Martin Šimečka: – Jeszcze w czasach opozycji antykomunistycznej wszyscy chcieli znać jego poglądy na przyszły rozwój wydarzeń. Na regularnych spotkaniach czeskich i słowackich zakazanych pisarzy – od 1980 r. regularnie spędzali oni ze sobą co trzy miesiące cały weekend, do tej grupy należał Václav Havel, Ludvík Vaculík, Ivan Klíma i wielu innych, ja też tam przychodziłem – zawsze miał jakieś wystąpienie, „raport o stanie kraju”, i powtarzał, że komunistyczny reżim już długo się nie utrzyma.

– Gdzieś w roku 1989 – wspomina syn – ojciec powiedział Havlowi dosłownie: „Już niedługo pójdziesz po czerwonym dywanie na praski Hrad i zostaniesz prezydentem”. Pamiętam, że Havel bardzo zaprotestował i mówił, że ojciec się głęboko myli myśląc, że komunizm niedługo upadnie, a poza tym on, Havel, nie chce być politykiem i nawet jeśli ktoś by mu zaproponował, to on prezydentem nie będzie. A w grudniu 1989 r.

Havel wprowadzał się już jako prezydent na Hrad. Ironia historii...

Świat polityki zagarnął nie tylko Havla, także Šimečkę: w wolnych wyborach w czerwcu 1990 r. został posłem słowackiego parlamentu (słowacka część kraju w federacji czeskosłowackiej miała własny parlament). W niektórych wydarzeniach odegrał kluczową rolę, np. on przekonał komunistycznego (jeszcze) premiera Słowacji, Milana Čiča, aby w lutym 1990 r. wystąpił z partii komunistycznej. Przyczynił się też do tego, że w wolnych wyborach w barwach VPN-u wystartował reformator z czasów Praskiej Wiosny, niezwykle popularny w społeczeństwie Alexander Dubček, co dało organizacji zwycięstwo.

Šimečka został też szefem doradców prezydenta Havla. Najpierw nie chciał się zgodzić: miał nadzieję, że teraz, gdy jest wolny, będzie podróżować po świecie i pisać. Ale w końcu miał stwierdzić, że Havel to jedyny człowiek, któremu nie może odmówić.

Przeprowadził się więc z rodziną do Pragi, wpadł w wir politycznych negocjacji, narad. Ale nie czerpał z tego satysfakcji. Niepokoiły go tendencje, które potem doprowadziły do rozpadu Czechosłowacji, bo, jak mówił, jedną komorę serca ma czeską, a drugą słowacką. Obawiał się też nacjonalizmu na Słowacji. Czuł rozczarowanie, że idee wolności ustępują coraz częściej rozmowom o pieniądze. Stopniowo zniknął jego wrodzony optymizm...

We wrześniową noc 1990 r. karetka przewiozła go z Hradu do szpitala. Ale lekarze nic już nie mogli zrobić: Milan Šimečka zmarł na zawał, mając zaledwie 60 lat. ◆

tolików), a ilu „tamtych” (konserwatystów czy liberalów, politycznych więźniów itd.). Nie o to chodziło, choć trudno to wytłumaczyć komuś, kto tego nie doświadczył. Brak politycznej wizji jakiegoś z gruntu nowego Dobra, a nawet brak całościowego programu politycznego czy też programów politycznych można postrzegać nie tylko jako niezrozumiałe, nie mające usprawiedliwienia manko czeskiej opozycji, ale też, raczej, jako odpowiednią reakcję na globalne problemy naszego świata.

Jeśli zjeździemy z filozoficznych cokołów na ziemię, stanie się oczywiste, że w tej części Europy na początku lat 90. w pełni za doświadczył Francisowi Fukuyamie. W połowie roku 1989 twierdził on (w sławnym esejie dla „Foreign Affairs”; książka wyszła nieco później), że nadchodzi „koniec historii” w tym sensie, że liberalna demokracja jest końcowym etapem ludzkości i nic więcej, nic lepszego już za nią nie ma, przestrzeń na utopię jest opróżniona.

Liberalna demokracja z wolnym rynkiem jako fundamentem (spory były i są tylko o przymiotniki do tego rynku, np. „społeczna gospodarka rynkowa”) jest rzeczywiście jak dotąd ostatnim etapem rozwoju. Gdzie indziej oczywiście historia się nie skończyła, w wielu miejscach przyjmuje nawet nieoczekiwane tragiczny wymiar.

Ale Fukuyama miał rację, jeśli rozważał szanse pojawienia się całościowych wizji ustroju w cywilizacji atlantyckiej. Jasne, że nie zajmował się recydywami nacjonalizmu, a tym bardziej „zderzeniami cywilizacji” w skali globalnej.

W tym sensie Karta 77 była bardziej przygotowana (miała za sobą męczące dyskusje o ciemnych stronach naszej historii, np. wypędzeniu Niemców), a z pewnością nie cierpiała na żaden nadmierny optymizm jak Fukuyama.

Myślę, że to właśnie to – dla niektórych tak niezrozumiałe – fascynowało w Václavie Havlu zachodnich polityków: nie jakieś nowe wspaniałe wizje, ale jego przyciszony sokratesowski „daimonion”, ostrzegawczy wewnętrzny głos, słowa wydobyte z doświadczenia patočkowskiej „solidarności wstrząśniętych” [filozof Jan Patočka był jednym z rzeczników Karty 77, autorem jej programu; zmarł na udar mózgu po 11-godzinym przesłuchaniu przez bezpiekę – red.]. A jednak tylko słowa dopóty, dopóki nie było za nimi osobistej gwarancji. A u Havla była. Mógł sobie pozwolić na wypowiedzianie z akceptowaną przesadą (i z umiarkowaną ironią, którą nie każdy wychwycał) słów „prawda” i „miłość”, choć u innych i w innych okolicznościach brzmiały kiczowato i nie do przyjęcia. I tego jednak mu niektórzy do dziś nie wybaczyli. Przeszkadza im to do tego stopnia, że wydaje się, iż jeśli już, to woleliby „kłamstwo” i „nienawiść”.

Pozornie w sensie fukuyamowskim propagował u nas słowo „standardowy” Václav Klaus [premier, obecnie prezydent – red.]. Był to jego sposób krytyki „społecznej inżynierii”, którą przypisuje lewicowym intelektualistom. „Standardowy” oznaczało dla niego nakaz porzucenia wszelkiej ingerencji do tyłu wolnej, co nieregulowanej gry sił rynkowych.

Václava Havla, dysydentów i w ogóle intelektualistów przymiotnik „standardowy” raczej irytował, dlatego że oni doszli do nieideologicznych poglądów, opłaconych życiowym doświadczeniem. Natomiast neoliberalizm Klause ze swym programowym separowaniem się od społecznej rzeczywistości (wtedy panowała u nas „normalizacja”, teraz „światowy kryzys gospodarczy”) stawał się ideologią, opierającą się na abstrakcyjnych dogmatach. ◆

PRZEŁOŻYŁA PATRYCJA BUKALSKA



9 LISTOPADA

9 listopada, w południe. Jesienny Berlin ma zapach brykietów z węgla brunatnego, opału popularnego i trującego środowisko. Od rana mży. Ponuro. Pusto. Żadnych ulotek, plakatów. Trudno uwierzyć, że coś się tu zmienia, że kilkanaście dni temu ze stanowisk odeszli szef partii Erich Honecker i Erich Mielke, szef bezpieki (Stasi). Na ulicy nie czuje się napięcia. Tu rewolucja jest jakoś ustrukturyzowana: rozgrywa się w poniedziałki, gdy idą demonstracje, a na co dzień w kościołach, gdzie niekończące się dyskusje prowadzą opozycjoniści, i w mieszkaniach, gdzie przy stołach spierają się zwykli obywatele. Takie rozmowy to w tym kraju też przełom. Na razie dominuje niepewność. Prasa partyjna podaje, że 3 listopada sąd w Dreźnie skazał kilka osób za „chuligaństwo” podczas demonstracji w październiku. Wyroki: od kilku do kilkunastu miesięcy więzienia.

Popołudnie. Rozmowa z Michaelem Bartoszkiem. Poeta i opozycjonista, Bartoszek (jest Niemcem; dziadkowie byli Polakami, przybyli tu przed 1914 r. za pracą) jest współzałożycielem opozycyjnego Ruchu Obywatelskiego Demokracja Teraz. Potężny, jowialny, tłumaczy przybyszowi z Polski, czemu NRD jest „inna”. – Wam jest łatwiej – wzdycha. – Komunizm to tylko etap w waszej historii. Macie tożsamość, która nie musi mieć nic wspólnego z komunizmem, macie silne poczucie przynależności narodowej, to pomogło wam przetrwać. Tego wszystkiego nie ma w NRD. W ogóle: co to jest NRD? Nie mamy ogólnie uznanego systemu wartości. Co ma zastąpić w społeczeństwie miejsce, które dotąd zajmowały partia i ideologia?

Pytam, dlaczego opozycja w NRD mówi, że nie chce obalać socjalizmu, ale go reformować? Bartoszek jest zafrasowany. Jak to wytłumaczyć? Zaczyna: – To punkt wyjścia, strategia przy poszukiwaniu nowej tożsamości i nowego modelu społeczeństwa,

nie kapitalistycznego i nie socjalistycznego. W Niemczech lewica ma inne tradycje niż u was. Socjaldemokraci są przecież potęgą w Niemczech Zachodnich.

Mam wrażenie, że kolejne pytanie zabrzmiało brutalnie: po co ma w ogóle istnieć NRD? Bartoszek zamyśla się: – Trudno odpowiedzieć wprost... 40 lat rozwoju w innych warunkach spowodowało zmiany świadomościowe. W tej chwili zjednoczenie oznaczałoby wchłonięcie NRD przez RFN, narzucenie modelu zachodniemieckiego. Myślę, że możemy zastanawiać się nad zjednoczeniem dopiero, gdy społeczeństwo wyzwoli się z dyktatury i po wolnych wyborach stworzy podwaliny pod nowy system polityczny, który umożliwi nam samookreślenie. Obrazowo: jest dwoje partnerów, należą do siebie i wiedzą o tym. Ale muszą też wiedzieć, kim są, aby ich małżeństwo było udane...

Symbolem Demokracji Teraz jest motyl. Dlaczego? Poeta Bartoszek tłumaczy: – Motyl to symbol naszego społeczeństwa. Larwa, która zawija się w kokon, może wyschnąć i obumrzeć. Ale jeśli przeżyje, wykluje się z niej piękny, kolorowy motyl.

Jeśli przeżyje...

Wieczorem. W mieszkaniu Haralda Hauswalda włączony telewizor. Hauswald, znany fotograf – znany na Zachodzie, gdzie wydał albumy dokumentujące życie w NRD; tu nic nie opublikuje – wybiera zdjęcia z demonstracji. Dla polskiej prasy niezależnej (czy słowo „podziemna” jest jeszcze adekwatne?) udostępni je za darmo. Zerkamy na ekran, w telewizji leci na żywo konferencja prasowa Güntera Schabowskiego, jednego z partyjnych liderów. Schabowski czyta jakieś komunikaty, chaotycznie, bełkotliwie. Gdy wychodzę z mieszkania Hauswalda i idę przez „studnię” podwórza, głos Schabowskiego dobiega zza wielu okien. Potem zapada cisza.

PRZEZ 28 LAT MUR DZIELIŁ BERLIN. WIECZOREM, 9 LISTOPADA 1989 R., ZNIKŁ.

WOJCIECH PIĘCIAK

Daleko, wiele przecznic stąd, dziennikarze opuszczają konferencję prasową i zastanawiają się, co właściwie Schabowski powiedział. Pierwsze depesze będą oględne. Dopiero za kilkadziesiąt minut jedna z agencji odważy się na ryzykowną, jak się jeszcze wydaje, interpretację, która skłoni inne agencje, a potem zachodniemiecką telewizję i radio, do naśladownictwa: „Granica jest otwarta!”. Dopiero wtedy ci, którzy w NRD oglądają akurat zachodnią TV, pojmą, co powiedział Schabowski. Albo czego nie powiedział, ale co tak zostało zrozumiane.

Ale to jeszcze nie teraz.

Późnym wieczorem. Pukam do drzwi rodziny Krause w dzielnicy Prenzlauer Berg. Siedzimy przy kolacji, dyskutujemy. Odnoszę wrażenie, jakby ci ludzie budzili się z długiego snu, nagle stwierdzali, że muszą sami podejmować decyzje, działać. Około godziny 23 telefon. Elisabeth, pani domu, odbiera. – Co? – puszcza słuchawkę, rzuca się do telewizora. Ten odmawia posłuszeństwa. W radio czytają tekst jakichś nowych przepisów. Podobno coś z granicą. – Boże, co teraz...

Najstarsza córka, Angelika, sięga po płaszcz: – Jadę, muszę zobaczyć, jak to wygląda. Ale nie, to niemożliwe...

To było za piękne. Nie uwierzyliśmy. Zostaliśmy w domu. O wpół do szóstej zostałem zbudzony przez Angelikę. Pochyliła się nade mną, zdziwiona i wystraszona: – Granica jest otwarta.

Potem dowiedzieliśmy się, co przespaliśmy.

Noc pierwsza. Opowiada Annemarie, lat 47: – Wieczorem byliśmy na spotkaniu oficjalnych partii i naszych grup opozycyjnych, poznawaliśmy się, dyskutowaliśmy, byli ludzie z komunistycznej SED. Wróciliśmy z mężem do domu. Żeby się odprężyć, włączyliśmy telewizor. Zobaczyliśmy młodych ludzi, krzykali, że właśnie przeszli Most Bornholmski. Nie mogliśmy uwierzyć. Mąż mówi, chodź, pójdziemy na piwo na Kudamm, do Berlina Zachodniego. Ja na to, chyba oszalałeś. Przecież nie można. Tak to się utrwaliło w głowie: nie można i już. Mąż nie ustępował. Pojechaliśmy. Z daleka usłyszeliśmy jakby grzmot, huk radości. Strumień ludzi przelewał się przez granicę.

Jürgen Bohl, lat 24: – Zapukał przyjaciel i mówi, że granica otwarta. Nie wierzyliśmy, ale pobiegliśmy. No i przeszliśmy granicę. Głupio mi się zrobiło, gdy zobaczyłem, jak ludzie rzucają się na colę, jakby to był dla nich symbol zachodniego standardu. Potem staliśmy na murze przy Bramie Brandenburskiej, tańczyliśmy, płakaliśmy, armatka wodna próbowała nas zmoczyć. Było już pół do czwartej, zeskoczyliśmy na wschodnią stronę i byliśmy z żoną chyba pierwszą parą, która przeszła przez Bramę od 28 lat.

Opowiada Konrad Weiss, rocznik 1942, współzałożyciel Demokracji Teraz: – Zostaliśmy najmłodszą córkę, bo spała, a jesz-

cze nie wierzyliśmy i nie chcieliśmy jej budzić. Pojechaliśmy z żoną autem do najbliższego przejścia, ale tam wszystko było już zablokowane. Wróciliśmy więc po córkę. Ona oszołomiona, my też, doszliśmy na piechotę do przejścia Bornholmerstrasse. Kiedy zbliżyliśmy się do granicy, usłyszeliśmy radosny gwar tysięcy ludzi. I już tkwiliśmy w środku ludzkiego strumienia płynącego przez Most Bornholmski, który prawie 30 lat był symbolem podziału. Szliśmy przed siebie, a wokół ludzie śmiali się, płakali, tańczyli. Nikt ich nie zatrzymywał. Nawet po strażnikach, którzy stali wciśnięci z boku, widać było radość. Ludzie podchodzili do nich, żartowali. Kiedy ta ludzka rzeka parla do Berlina Zachodniego, z przeciwną już płynął wski strumyk. To byli ci z pierwszej fali, którzy chcieli tylko postawić stopę po drugiej stronie, niektórzy w piżamach, na które narzucili płaszcze – i ludzie z Berlina Zachodniego, którzy po raz pierwszy normalnie szli do krewnych na naszą stronę. Wszyscy, jak umówieni, szli na Kurfürstendamm – główną arterię Westberlina. Córka zaciągnęła nas, rzecz jasna, do dyskoteki. Najpierw stanęliśmy bezradni, ale potem zaczęliśmy tańczyć: najpierw ja, potem żona, a na końcu córka. Jak szaleni. Nigdy dotąd nie zdarzyło się nam tak tańczyć – jakbyśmy wytańczyli z siebie lata frustracji, lęków, strachu.

Namawiam Weissa, aby swe wrażenia spisał w formie korespondencji dla „Tygodnika”. Siada do maszyny. Powstaje emocjonalny tekst pt. „Pierwsza noc pokoju”. Weiss pisze: „Nigdy lepiej nie rozumiałem słów z Kazania na Górze: błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni. Tak, tej nocy doznałmśmy prawdziwej pociechy. Dla Niemców owa noc była nocą pokoju”. I dalej: „Rozumiem Polaków, którzy wydarzenia tej berlińskiej nocy obserwowali nieufnie i podejrzliwie. Rozumiem, że lękają się tego wybuchu niemieckich uczuć. Proszę mi jednak wierzyć, ta godzina różniła się bardzo od pamiętnych dla Polaków chwil z przeszłości (...). Te godziny były może naprawdę pierwszymi godzinami nowych, całkiem innych Niemiec. Niemiec, których żaden sąsiad nie będzie już musiał się więcej lękać”.

Piątek rano. Biegniemy z Angeliką do najsłynniejszego przejścia granicznego Friedrichstrasse, zwanego „Tränenpalast”, Pałac Łez, bo tu rozdzielone rodziny czekały na krewnych z Zachodu; wychodzili zza drzwi, otwierających się w jedną stronę; tu odprowadzono emigrantów; stąd kursowały „Mumiexpress”, pociągi z emerytami, którzy mogli podróżować, bo byli już nieproduktywni. „Czekać aż się stanie nad grobem / żeby mieć prawo przy stole przyjaciela / wypić filiżankę herbaty” – pisał poeta Reinert Kunze.

Przed Pałacem Łez tłum. Autobusy wypływają setki ludzi, wszyscy ruszają w jedną stronę. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, co się stało. I wierzyć, że się stało. Angelika

OGŁOSZENIE

INSTITUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Zapraszamy na portal edukacyjny

www.rok1989.pl

Wstęp Kalendarium

Polska NRD Czechosłowacja Węgry Rumunia Bułgaria



Berlin, 11 listopada 1989 r.: nowo otwarte przejście graniczne przy Eberswalderstrasse ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA

placze, zachowuje się jak dziecko, które krąży wokół nieznanego zabawki. Chce jej dotknąć i boi się. Kolejka rośnie. W tych dniach granicę przekroczy miliony. Podbiegamy do ludzi. Grupa młodzieży urwała się ze szkoły, chcą zobaczyć, razem czują się pewniej. Młoda dziewczyna idzie do narzeczonego, wyjechał legalnie pół roku temu, chcieli się poobrać, ale ani ona nie mogła do niego, ani on do niej, jako były obywatel NRD. Ostatni raz widzieli się, gdy wyjeżdżał.

Piątek w południe. Mieszkanie Bärbel Bohley, czyli biuro opozycyjnego „Nowego Forum”. Zwykle tłoczy się tu kilkadziesiąt osób dziennie, dziś jest zdumiewająco spokojnie. Nawet pusto. Bohley odmawia umówionego wywiadu, mieliśmy rozmawiać o opozycji, o przyszłości: – Chyba zwariuję, nie wierzę. To za wiele dla mnie. Nie mogę się cieszyć. 28 lat, po co, dlaczego tyle tysięcy siedziało w więzieniach, po co tylu zginęło. Dlaczego? Rola intruza jest niemiła, ale zostają. Po chwili dzwonek do drzwi: kolejny szok. Wchodzą ludzie, których Bohley widziała po raz ostatni przed laty, gdy pozbawieni obywatelstwa opuszczali przymusowo NRD. Myśleli, że na zawsze. Roland mówi: – Najpiękniejsze dla mnie były te kolumny trabantów, które jechały z powrotem do NRD.

Nieprzyjemny akcent: w telewizji pojawia się Wolfgang Templin, wiadomość psuje nastroje. Chciał wjechać do Berlina Zachodniego, nie został wpuszczony. Templin (w latach 80. założyciela Inicjatywy Pokój i Prawa Człowieka) władze wydalili w 1988 r., teraz sądził, że będzie mógł wjechać do NRD. Ale go nie wpuszczono. Jeszcze nie.

Ponieważ Bohley nie jest w stanie udzielić wywiadu, rozmawiam z Rolfem Henrichem. Współzałożyciel „Nowego Forum”, kiedyś komunista, został „rewizjonistą”, a teraz jednym z liderów opozycji. Rozmowa się nie klei, szybko zamienia się w katalog nieporozumień. Henrich tłumaczy: – Dla opozycji wspólna jest postawa antykapitalistyczna. Nie kwestionujemy socjalizmu, my rozumiemy go inaczej niż Honecker.

– W opozycji mówicie o „socjalizmie z ludzką twarzą”, dla Polaka brzmi to jak „żywy trup” – mówię i mam wrażenie, że go obraziłem. Ripostuje: – Demokratyczny socjalizm to wolność dla życia kulturalnego i duchowego, równość wobec prawa, państwo prawa, sprawiedliwość społeczna! Nie chcemy społeczeństwa rządzącego się wil-

czymi prawami, drapieżną konkurencją. Ale chcemy mieć efektywną gospodarkę i myślę, że możemy wprowadzić elementy gry rynkowej bez całkowitej prywatyzacji.

– Czy wszystkie grupy opozycyjne są lewicowe? – pytam. Henrich też jest poirytowany: – Cóż, prawdopodobnie inni uciekli na Zachód. Kto był prawicowy, ten przez 40 lat istnienia NRD nie miał tutaj szans.

– Nie miałem na myśli prawicy, tym bardziej skrajnej, ale opcję konserwatywną, jak np. CDU w Niemczech Zachodnich... – tłumaczę. – A czemu nie ruszacie tematu zjednoczenia Niemiec? – pytam i słyszę po odpowiedzi, że weszliśmy na kolejne pole minowe: – „Nowe Forum” stwierdza, że zjednoczenie nie jest dziś tematem. Punktem wyjścia jest istnienie dwóch państw niemieckich i nie dążymy do systemu kapitalistycznego – deklaruje Henrich. – Uważam, że niemieckie państwo narodowe przyniosło same nie-szczęścia. Takie państwo było zresztą wyjątkiem w dziejach. Mogę sobie wyobrazić, że RFN i NRD nie będzie dzielić mur, a mimo to powstanie u nas własna tożsamość.

– Ale dotąd jedyną racją istnienia NRD był socjalizm – brnę dalej. – Nie jedyną – ripostuje rozmówca – bo była też idea antyfaszystowska, która określiła historię pierwszych lat NRD. Prawdą jest, że mur trzymał wszystko przemocą. Ale prawdą jest też, że w Niemczech istniała idea socjalistyczna zanim powstała NRD. Proszę pamiętać o Róży Luksemburg, jednym z naszych największych przywódców duchowych...

– Dla Polaków to niezrozumiałe...
– Może. Dla nas była jednym z największych autorytetów.

– Nam kojarzy się z wypowiedziami na temat państwa polskiego, które negocjowała...
– Tego nie wiedziałem...
– Więc jak widzicie nową NRD-owską tożsamość?

– To się uda, jeśli zbudujemy inny niż w RFN organizm społeczny. Gdy będziemy gospodarować metodą socjalistyczną i ludzie zobaczą, że nie mamy bezrobotnych, a gospodarujemy efektywnie. Pod koniec XX w. jestem daleki od składania holdów zachodniej gospodarce, która prowadzi do światowego kryzysu ekologicznego.

– Ale to funkcjonuje, ekologia to problem uboczny...

– Uboczne?! Ta cała eksploatacja, ten wyzysk? Ta gospodarka niszczy ziemię, spycha Trzeci Świat w nędzę!

– Gospodarka socjalistyczna nie funkcjonuje w ogóle.
– Dlatego musimy znaleźć trzecią drogę!
I tak dalej...

Popołudnie, przy murze. Podjeżdża tramwaj, wysypuje się tłum ludzi, ich miejsce zajmują inni, którzy wracają, z kolorowymi torbami, książką, płytą, piwem, drobiazgami. Jakby ostrożnie kosztowali wolności, powoli, aby się nie zachłysnąć. Przetrawiają to, co zobaczyli po drugiej stronie, są trochę jakby odurzeni. „Tego dnia naród niemiecki jest najszczęśliwszym narodem na ziemi – powie burmistrz Berlina Zachodniego. – Oni wywalczyli ten dzień, i oni o tym wiedzą”. Na przystanku stoi oficer w mundurze. Chyba płacze. A może to tylko deszcz?

Za kilka-kilkanaście dni areszty Stasi zaczęły opuszczać więźniowie. Także aresztowani ledwie kilkanaście tygodni temu. Pojawia się anegdota o młodym człowieku, którego aresztowano podczas jednej z pierwszych większych demonstracji, we wrześniu, gdy milicja je jeszcze rozpędzała. Chłopak miał siedzieć w izolacji. Gdy w listopadzie wyszedł, nie rozumiał, co się dzieje, i musiał szukać pomocy u psychologa.

Gethsemanekirche. Kościół Ogrójca, centrum opozycji w Prenzlauer Berg, dzielnicy popadających w ruinę XIX-wiecznych kamienic, gdzie żyje kontrkultura wszelkiej maści i opozycjoniści. Tego dnia życie toczy się po drugiej stronie muru, ale kościół pełen: spotkanie „Nowego Forum”. Ściany obwieszane ogłoszeniami, zdjęciami z demonstracji 7 i 8 października z Alexanderplatz, jeszcze brutalnie tłumionych przez milicję. Nastroje mieszane. Święto, oczywiście. Ale też niepewność. Ludzie, którzy pierwsi poruszyli społeczeństwo, są niepewni. Jakby upadek muru wprowadzał jeszcze większą niejasność co do przyszłości. Co dalej?

Jeszcze parę tygodni temu, we wrześniu, w październiku, wydawało się, że przełamali izolację, w jakiej tkwili w społeczeństwie. Że, jak w Polsce 9 lat wcześniej, stanęli obok siebie robotnicy, studenci i inteligencja, że opozycja wreszcie ma poparcie – w końcu na demonstracje nawet w niewielkich miastach przychodzi po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Ale ta siła to złudzenie. Tak, to oni ruszyli z posad bryłę NRD-owskiego świata, ale po to, aby za chwilę okazać się niepotrzebnymi. Ale jeszcze nie dziś.

Schöneberg, Berlin Zachodni. Przed ratuszem trwa wiec 200 tys. ludzi. Przemawiają politycy, w tym kanclerz Helmut Kohl, który przerwał wizytę w Warszawie. Tłum – dominują lewacy, Westberlin to ich „stolica” – wygwizduje Kohla, rzuca jajkami. Największą, kilkunastominutową owacją przyjmuje słowa szefa MSZ Hansa-Dietricha Genschera: „Jeszcze dziś rano byliśmy w Warszawie. Powiedzmy więc z tego miejsca: naród polski musi wiedzieć, że my, Niemcy, nigdy więcej nie zakwestionujemy granicy między Polakami i Niemcami”.

Noc druga. Pod mur przecinający w poprzek Eberswalderstrasse podjeżdżają wojskowe ciężarówki. Ruszają młoty pneumatyczne, wybijają w murze przejście. Żołnierze ściągają drut kolczasty, spychacz zasypuje rów. To samo dzieje się tej nocy na Puschkinalee, Dammweg i jeszcze w paru miejscach: powstają nowe przejścia graniczne. Mieszkańcy z okolicy zaglądnęli do „strefy śmierci”.

Poranek. Przejście jest otwarte. Ktoś wspina się na mur, zatyka bukiet kwiatów. Żołnierze Grenztruppen, wczoraj gotowi zabijać, stoją odprężeni, żartują z ludźmi. Symbol epoki, która się kończy, stoi niegroźny, niepotrzebny. Podchodzę do betonowej bariery, wyrwam kawałek, chowam do kieszeni. Potem wdrapuję się na budkę transformatora i patrzę z góry, jak przez wyrwy przelewają się ludzie. – Ja bym go nie wyburzała – mówi stara kobieta. – Niechby to zostało, niech to będzie nasza niemiecka ściana płaczu.

Sobota w południe. Schöneweide, dzielnica Berlina Wschodniego, kościół Chrystusa Króla. Erich Busse, który kilka dni temu świętował 40. urodziny, rozlewa do talerzy zupę fasolową. „Kilkadziesiąt lat temu ludzie zapomnieli, że jest Pan Bóg. Teraz zapomnieli, że zapomnieli, że jest Pan Bóg” – zwykł mawiać Busse, pastor 14-tysięcznej dzielnicy, gdzie w niedzielę na nabożeństwo przychodzi kilkanaście osób. Od lat pomaga opozycji (na jaką skalę Stasi go inwigilowała, uświadomił sobie dopiero za kilka lat, z lektury swojej „teczki”).

Ale dziś wielka sala parafialna jest pełna: opozycyjne „Nowe Forum” zorganizowało swój kongres, przyjechali ludzie z całego kraju, trwa debata nad programem. Młodzi opozycjoniści spierają się o strategię. Chcą budować „zreformowane, demokratyczne NRD”. Teraz jest przerwa obiadowa i Busse, człowiek praktyczny, załatwił zupę. „Rozłam się szykuje, nie będzie jedności” – prorokuje brodacznik znad talerza.

Opozycjoniści jedzą więc fasolową „Eintopf” z wkładką mięsna i nie wiedzą, że tworzenia historii zakosztują tylko przez chwilę. Za kilkanaście dni na kolejnej wielkiej „demonstracji poniedziałkowej” w Lipsku – Lipsk nadaje ton – tłum rzuci nowe hasło: „Wir sind ein Volk!”. „Jesteśmy jednym narodem!”. A chwilę później: „Deutschland, einig Vaterland!”.

Opozycja nie będzie już potrzebna. Wiosną 1990 r., w pierwszych wolnych wyborach do parlamentu (jeszcze NRD, koalicja partii wywodzących się z NRD-owskiej opozycji dostanie raptem niecałe 3 proc. głosów.

Ale oni tego jeszcze nie wiedzą. Ze w czwartek, 9 listopada 1989 r., zaczęła się droga do zjednoczenia Niemiec, będzie jasne dla wszystkich za kilka miesięcy. Jeszcze nie teraz. Na razie trwa rewolucja.

W końcu bez niej nie upadłby mur. I nie byłoby zjednoczenia. A potem wielu, wielu innych wydarzeń w Europie.

Ale to jeszcze nie teraz. ♦

„Jesień Ludów...”

Cd. ze str. I

→ RFN w Pradze czy Warszawie. Ci, którzy nie uciekali, chcieli dać wyraz swemu protestowi. Później była już kulminacja, w postaci upadku muru berlińskiego, czyli otwarcia przez władze NRD granicy z Niemcami Zachodnimi. A potem się rozlało: Bułgaria, Czechosłowacja, na końcu Rumunia.

▶ **Jesteśmy przekonani, że daliśmy przykład, a np. Węgry, że u nich zmiany toczyły się niezależnie od Polski. Niemcy wskazują na Węgry i otwarcie przez nich granicy, co stworzyło presję na władze NRD. A jeden z czołowych historyków tak mówił: „W poszczególnych państwach myślane o własnym kraju na osi Moskwa–my–Zachód. Nikt nie zastanawiał się nad rolą sąsiadów”.**

Dziś nie tylko aktorzy ówczesnych wydarzeń, ale także historycy z Węgier, Czech, Słowacji czy Bułgarii twierdzą, że żadne zewnętrzne czynniki nie miały wpływu na ich kraje. Tymczasem zależności są ewidentne, choć empirycznie niesprawdzalne. Nikt nie robił wtedy badań opinii publicznej, by mieć twarde dane o nastrojach. Moim zdaniem to, co działo się w Czechosłowacji, a zwłaszcza w Czechach od połowy listopada 1989 r., było działaniem typowo naśladowczym po upadku muru berlińskiego 9 listopada. Jednak każdy kraj chce być dumny i uważa, że sam wszystko wynalazł. Faktem jest, że każdy kraj miał swą specyfikę, zresztą przez cały okres komunistyczny: inny był komunizm w Rumunii Ceausescu, a inny na Węgrzech, w Czechosłowacji czy Polsce. To zróżnicowanie nie mogło pozostać bez wpływu na przebieg zmiany systemowej. Polska i Węgry są przypadkiem najbliższym takiemu modelowi zmiany, jaki wprowadzili socjologowie i politolodzy, badający zmiany ustrojowe w Ameryce Łacińskiej czy w Hiszpanii po śmierci Franco.

▶ **Jaki to model, łączący tak różne miejsca?**

Jeden z nich sformułował Adam Przeworski, profesor politologii z New York University. Opisuje on, jakie warunki muszą być spełnione, aby w ogóle wejść w typ tzw. zmiany negocjowanej, tj. negocjowanej między starym reżimem a nowymi elitami. Mówiąc w skrócie: najpierw musi zaistnieć wyraźny kryzys systemu, jego legitymizacji i wiarygodności. Obojętne, czy dlatego że władze popełniają błędy polityczne, czy też nie funkcjonuje gospodarka. Musi być kryzys. On pomaga wygenerować się opozycji i ułatwia jej znalezienie kontaktu ze społeczeństwem. Z kolei władze, szukające recepty na opanowanie kryzysu, powinny podzielić się na „twardogłowych”, którzy chcą strzelać, i „reformatorów”, gotowych coś zmienić, aby w ten sposób zachować władzę. W każdym razie musi zostać zakwestionowana pozycja władz, bo to uruchamia procesy społeczne. Np. w PRL władza często była kontestowana, ale częściej kontestowano konkretną ekipę rządzącą niż system jako taki. Kontestacja systemu zaczęła się wraz z powstaniem opozycji demokratycznej, która musiała jeszcze znaleźć przełożenie na masę. W Czechosłowacji czy ZSRR też była opozycja, ale nie miała takiej możliwości działania jak opozycja w Polsce. U nas pojawiło się kilka czynników, które to umożliwiły: najpierw wybór Karola Wojtyły na papieża i jego pielgrzymka w 1979 r., co rozruszało społeczeństwo, a później strajki w sierpniu 1980 r. i powstanie Solidarności – alternatywnego ośrodka, dookoła którego mogła skupić się przynajmniej część społeczeństwa.

▶ **Czy przyspieszenie jesienią 1989 r. w NRD i Czechosłowacji brało się właśnie z ożywienia społeczeństw? Czy też bardziej decydowała międzynarodowa polityka?**

Oba czynniki były powiązane. Gdyby społeczeństwa się nie ruszyły, wówczas Moskwa i władze tych krajów nie musiałyby nic robić, Gustáv Husák rządziłby w Czechosłowacji, a Erich Honecker w NRD.

▶ **Jednak celem Michaiła Gorbaczowa, gdy kilka lat wcześniej ogłosił pierestrojkę, nie była przecież zmiana ustrojowa w Europie Środkowej.**

Elementem planu Gorbaczowa była w 1989 r. wymiana władz NRD i Czechosłowacji, ale oczywiście w ramach systemu: na innych komunistów, młodszych. Gorbaczow miał swój plan reformy ustroju. Widział niebezpieczeństwa, narastanie kryzysu gospodarczego i społecznego sprzeciwu. Rozumiał, że grozi to całemu systemowi. Wcześniej było inaczej, np. w Polsce w 1968, 1970 czy 1976 r. mieliśmy do czynienia z kryzysem ekipy rządzącej, a dopiero od 1980 r. już z kryzysem systemu, gdy powstała siła niezależna od partii. W ZSRR Gorbaczow nie działał pod presją ulicy, ale czuł presję rywalizacji międzynarodowej, miał świadomość katastrofy gospodarczej. Szukał wyjścia. Uważał, że może być nim reforma, oczywiście przy zachowaniu władzy przez komunistyczne elity. Dlatego popierał tych „podopiecznych”, którzy też chcieli reformy, głównie Polaków i Węgrów, a ganił tych, którzy reform nie chcieli, jak Honecker czy Todor Żiwkow w Bułgarii. Z tym tylko, że mógł psioczyć na Żiwkova i Honeckera, ale nie mógł im nic zrobić. Dopiero gdy ludzie wyszli na ulice, nastąpiło połączenie obu czynników: Moskwa nie daje już ochrony Honeckerowi i Żiwkowi, ulica żąda ich odejścia, więc odchodzą.

▶ **Skoro mówimy o „refolucji”, kluczowy staje się kompromis obu stron. Czy dążenie do niego cechowało także wydarzenia w NRD i Czechosłowacji?**

W zarysowanym wyżej modelu było miejsce na przyspieszenia czy spowolnienia procesu zmian. Ale kluczowe było to, by po jednej i drugiej stronie wyłoniły się – i uzyskały przewagę w swoim „obozie” – siły skłonne do kompromisu, czyli „reformatorzy” w partii komunistycznej i „umiarkowani” w opozycji. Gdyby w listopadzie 1989 r. w kierownictwie partii komunistycznej w NRD przewagę wzięli „twardogłowi”, nie zgodziliby się na otwarcie granicy. Oczywiście, ówczesni aktorzy nie zdawali sobie sprawy z istnienia takiego modelu, to opis dokonany po fakcie. Choć pewne sygnały były, np. w 1985 r. Adam Michnik napisał w więzieniu artykuł, w którym przywołuje „wzór hiszpański”: negocjowanej zmiany ustrojowej. Przykład ten pokazał, że przejście od systemu niedemokratycznego do demokratycznego nie musiało nastąpić z użyciem siły – taką lekcję za swoją uznała część opozycji w Polsce końca lat 80. Z kolei we władzach zdawano sobie sprawę, że w opozycji takie propozycje są rozważane. A więc: „umiarkowani obu obozów, łączcie się”.

▶ **Czy różny przebieg „refolucji” w różnych krajach zdecydował kształt późniejszych zmian? Np. wolne wybory parlamentarne nastąpiły w Polsce dopiero we wrześniu 1991 r., znacznie później niż w Czechosłowacji.**

To miało znaczenie bardziej symboliczne niż realne w tym sensie, że nie sprawiło, iż sytuacja polityczna, społeczna czy ekonomiczna Czechosłowacji różniła się od sytuacji Polski z tego akurat powodu, że tam wcześniej były wolne wybory. Całkowicie wolne wybory były wcześniej także w Rumunii i Bułgarii – i co z tego? W Bułgarii wygrali je komuniści. Natomiast Polska była najbliższa modelowemu wzorowi m.in. przez to, że już w 1980 r., a nawet w 1979 r. zostały tu uruchomione wielkie siły społeczne. Dużo zależało też od tego, czy w danym reżimie przeważały tendencje „twarde” czy „miękkie”; wtedy opozycja mogła (albo nie) poszerzać swój zasięg. W Czechosłowacji w styczniu 1989, przed rocznicą śmierci Jana Palacha, na Václavskim náměstí demonstrowało kilka tysięcy osób. Ale to nie przełożyło się na masowy ruch. Inaczej było w listopadzie 1989 r., gdy ludzie zobaczyli, że demonstrować już można. Albo nawet wypada...

▶ **Podkreślamy, że koniec komunizmu zaczął się u nas, i ubolewamy, że rangę symbolu ma mur berliński. Ale czy nie jest tak, że gdyby mur nie padł i Niemcy się nie zjednoczyły, zmiany w Polsce musiałyby się zatrzymać?**

Gdyby nie upadł mur berliński, zatrzymałyby się na etapie rządu Tadeusza Mazowieckiego i prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Przecież koalicjantem Mazowieckiego były niedawne „partie sojusznice” PZPR, bo innych w Sejmie nie było. Podobnie na Węgrzech, gdzie również był „rząd koalicyjny”.

▶ **Trwalibyśmy w takim stadium przejściowym?**

Zapewne, choć to, co dziś postrzegamy jako stadium przejściowe, mogłoby przejść w stan permanentny. Wówczas pojawiłaby

się pewnie tendencja, aby kraje Europy Środkowej uzyskały status państw neutralnych, między ZSRR/Rosją a Zachodem. Ale upadł mur w Berlinie i był to prawdziwy koniec porządku jałtańskiego. Podważenie tego porządku, stworzonego w 1945 r., nie byłoby możliwe bez zjednoczenia Niemiec.

▶ **Trwanie muru berlińskiego i wyhamowanie przemian w Polsce i innych krajach: czy to najczarniejszy z możliwych „scenariuszy alternatywnych”?**

Nie sposób przewidzieć, jak zachowałby się aparat władzy, zwłaszcza resorty siłowe. Gdyby Polska pozostała taką enklawą z „Sejmem kontraktowym”, z wicepremierem Kiszczakiem i prezydentem Jaruzelskim, wtedy możliwość odwrócenia biegu wydarzeń byłaby duża. Powiedziałbym, że – paradoksalnie – jakimś gwałtownemu odwrotowi z tej drogi mógł się wtedy sprzeciwić Gorbaczow, któremu nie na rękę byłaby destabilizacja w Polsce.

▶ **Czy różny przebieg roku 1989 określił ocenę zmian i pamięć zbiorową o tym czasie?**

Istnieje tu wyraźny podział: z jednej strony są takie kraje jak Niemcy, Polska, Czechy, Słowacja i Węgry. Z drugiej – Rumunia i Bułgaria. W dwóch ostatnich komuniści wyszli z roku 1989 całkowicie obronną ręką, tam proces rozliczania przeszłości jest wyjątkowo trudny, odsuwany na boczny tor.

▶ **Ale w Rumunii zmiana miała postać niemal rewolucji.**

Ale została ona błyskawicznie zmanipulowana przez postkomunistów, którzy przez następne lata mieli tam przewagę. W Polsce fakt, że SLD nie wygrywa za każdym razem wyborów, to jedno. A że połowa Polaków uważa, iż Jaruzelski miał rację wprowadzając stan wojenny – to drugie.

▶ **A jeśli chodzi o rozliczenia z komunizmem w innych krajach, poza Rumunią?**

Widać tu duże różnice. W Polsce to się tak bardzo ciągnie, gdyż w odróżnieniu np. od Niemiec i Czechosłowacji, gdzie szybko podjęto decyzje prawne, w Polsce było to odkładane. Przecież ustawę lustracyjną przyjęto dopiero w 1998 r., a IPN powstał w 2000 r. Tymczasem w byłej NRD archiwa Stasi otwarto już w 1992 r.

▶ **Jesienią 1989 r. w NRD likwidacja Stasi była jednym z postulatów demonstrantów, a potem tematem negocjacji władz z opozycją. Stasi zaczęto likwidować w styczniu 1990 r., gdy jeszcze rządzili komuniści.**

NRD jest specyficznym przypadkiem, bo została wchłonięta przez inne państwo. Po zjednoczeniu Niemiec konstytucja była ta sama, struktury istniały, nie było problemu z budową nowych instytucji. Natomiast w Polsce było wiadomo, że trzeba będzie coś zrobić ze Służbą Bezpieczeństwa. Już w 1989 r. gen. Kiszczak, który stał na czele MSW do lipca 1990 r., zaczął reorganizować SB, zdając sobie sprawę, że w dotychczasowej formule nie da się jej utrzymać. Choć była to tylko kosmetyka: zmieniano nazwy pionów, kilka tysięcy ludzi przesunięto do milicji itp.

▶ **Czy Gorbaczow nie docenił dynamiki zmian w 1989 r.?**

Nie tylko jej nie przewidział, ale został nią zaskoczony. On na początku miał poczucie, w jakich sektorach muszą nastąpić zmiany, jeśli, jak sądził, system ma przetrwać: w gospodarce, a także w życiu społeczno-politycznym, ale ostrożnie. Przecież sam siebie by nie obalał. W Polsce rządzący mieli zresztą podobny problem. Przykład drobny, ale znamienity: w maju 1989 r., już po Okrągłym Stole, konferencja partyjna uchwaliła dokument przygotowany przez Biuro Polityczne PZPR o „likwidacji resztek stalinizmu” – jak ostrożnie! Gorbaczow nie miał więc żadnego konstruktywnego planu, wydarzenia go gonili, zwłaszcza gdy gospodarka zaczęła się rozsypywać. W sferze, nazwijmy to, niematerialnej Gorbaczow dobiło zjednoczenie Niemiec: miliony sowieckich żołnierzy zapłaciły za pokonanie faszystów, a tu Niemcy się jednoczą. I dlaczego? Bo tak im się podoba, a Moskwa musi zabierać wojska. Po prostu koniec. Dlatego Gorbaczow nigdy się nie podniesie w oczach rosyjskiej opinii.

▶ **Chciał zmienić system, a przyczynił się do obalenia powojennego porządku, w którym ZSRR odgrywała rolę głównego gracza: fatalne, z jego punktu widzenia.**

No tak, zrobił coś, czego nie chciał zrobić. Ale pamiętajmy, że dostał Nobla. Więc *summa summarum* opłaciło mu się. ♦
ROZMAWIAŁA PATRYCJA BUKALSKA

Prof. ANDRZEJ PACZKOWSKI (ur. 1938) jest historykiem, pracownikiem PAN, członkiem Kolegium IPN. W latach 80. redagował podziemne Archiwum Solidarności. Autor szeregu książek o Polsce w XX w.; m.in. „Droga do »mniejszego zła«. Strategia i taktyka obozu władzy, lipiec 1980 – styczeń 1982” (2002), „Wojna polsko-jaruzelska” (2006), „Trzy twarze Józefa Świąty” (2009).

POLACY I WSCHODNI NIEMCY

Czym opozycja w Polsce różniła się od opozycji w NRD? Dlaczego w obu krajach najczęściej buntowała się młodzież? Czy niemiecki protestantyzm w NRD i polski katolicyzm w PRL to były rzeczywiście dwa odmienne światy? Jak wyglądała ewolucja inteligencji, od poparcia dla systemu do jego kontestacji? Dlaczego w Polsce co kilka-kilkanaście lat dochodziło do wybuchów niezadowolenia społecznego? I dlaczego w innych krajach miały one miejsce tylko raz: NRD '53, Węgry '56, Czechosłowacja '68? Jaką rolę w Polsce i w Niemczech Wschodnich odgrywała kontrkultura? Co polska opozycja sądziła o perspektywie zjednoczenia Niemiec?

O tym na spotkaniu – zorganizowanym przez Instytut Pamięci Narodowej i warszawskie przedstawicielstwo Fundacji Konrada Adenauera – dyskutowali: Vera Lengsfeld (przed 1989 r. działaczka opozycji w NRD, obecnie posłanka CDU do Bundestagu), dr Christian Halbrock (obecnie historyk i pracownik Urzędu Gaucka/Birthler, a w NRD działacz opozycji młodzieżowej w NRD) i polscy historycy, przed 1989 r. związani z opozycją: prof. Andrzej Paczkowski, prof. Antoni Dudek i dr Łukasz Kamiński.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Zapis dyskusji publikujemy na naszej stronie internetowej:

www.tygodnik.onet.pl